

Maria Sidorska zd. Grzywacz

ul. Piastowska 5/19
58-400 Kamienna Góra

H/920

ARCHIWUM WSCHODNIE

Krótki opis mojego zesłania.

Przed deportacją na sybir mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem w osadzie Dębina pow. Słonim woj. nowogródzkie.

Dokładnie w dziewiątą rocznicę moich urodzin 10 lutego 1940 roku zostaliśmy przez władze radzieckie wyrzuceni z naszego, tuż przed wojną wybudowanego domu i wywiezieni w głąb Rosji.

Ten sam los spotkał wszystkich osadników mieszkających w Dębinie. Mieszkało tu siedem rodzin. Pozwolę sobie wymienić wszystkie nazwiska. Grzywacz - to moje rodowe nazwisko, następne rodziny: Krężłowie, Mularczykowie, Drewniakowie, Nowakowie, Mazurowie i pani Królowa z synem Romkiem.

Wiezli nas w nieznane. Cały transport towarowych wagonów, załadowanych ludźmi i bagażem, zamkniętych od zewnątrz, pilnowanych przez rosyjskich "soldatów" jechał na wschód od granic Polski. Dwa tygodnie morderczej podróży, skąpego wyżywienia, bez możliwości umycia się bo wodę i kaszę rozgotowaną na wodzie dostawaliśmy na postojach nie regularnie więc musieliśmy oszczędzać, ponieważ nigdy nie wiedzieliśmy kiedy znów drzwi się otworzą i powiedzą żeby dwóch mężczyzn z wiadrami wyszło po wodę i zupę. Wreszcie na jakiejś stacji, nie wiem jak się nazywała, otworzyły się drzwi i kazano nam pakować wszystkie rzeczy i wysiadać.

Od tej stacji jechaliśmy jeszcze dwa tygodnie sami. Rano rodzice kładli na sanie pierzynę na nią dzieci a na wierzch znów pierzynę i bagaże, które zabraliśmy z domu, przewiązywali sznurkiem i ruszaliśmy w drogę. Tatuś musiał iść pieszą. Tak robiły wszystkie rodziny, które dzieliły z nami los zesłańca. Jechaliśmy cały dzień. Kolumna san była tak długa, że nie było widać ani początku ani końca. Noce spędzaliśmy we wsiach znajdujących się na naszej trasie. Tu dostawaliśmy "kipiatok" /gotowana woda/ i porcję chleba albo kaszę na wodzie. Spaliśmy na słomie rozłożonej na podłodze po kilka rodzin w jednym domu, a rano po posileniu się tym co zostało z kolacji i uzupełnieniu tym co zabraliśmy z domu, jechaliśmy dalej. Dnie były podobne jeden do drugiego. Wszędzie dużo śniegu ~~и мрз~~ i mróz. Nie wiem jakim cudem przeżyła tę podróż moja najmłodsza dwumiesięczna siostra Czesława. Widziałam któregoś ranka jak gospodyni, u której nocowaliśmy dawała mamusi butelkę mleka. I tak dotarliśmy do miejsca przeznaczonego nam przez NKWD na dożywocie.

Były to drewniane baraki, ocieplone mchem gdzie gnieździło się mnóstwo pluskiew. Dookoła było widać tylko las. Posiołek ten nazywał się Wierchniaja Strojka i podlegał pod rejon Ledzińsk w wołogodzkiej oblasti. Trafiłam z rodziną do piętrowego baraku. Ulokowano nas po dwie

rodziny w jednym pomieszczeniu. Moja rodzina dzieliła jedną izbę z dziewięćosobową rodziną Krężłów. Osoby dorosłe; mężczyźni, kobiety i dorastająca młodzież musieli ciężko pracować ścinając ręczną piłą drzewa w lesie bez względu na pogodę i mróz. Zebrane drzewo zimą, na wiosnę było spławiane rzeką Suchoną.

Moja mamusia pracowała w stołówce. My dzieci musieliśmy chodzić do szkoły. Nauka była dla mnie przyjemnością więc mimo, że w języku rosyjskim korzystałam z tej okazji. Z Wierchniej Strojki szczególnie zapamiętałam liczną rodzinę Paluchów. Mieszkaliśmy w tym samym baraku na piętrze. Pani Faluchowa obsługiwała banię. Bania to syberyjska łaźnia, gdzie wzdłuż jednej ściany były położone deski w dwóch poziomach, wyżej i niżej, coś w rodzaju schodów, znajdowały się tam dwie dużych rozmiarów beczki na wodę i piec, którego palenisko było wyłożone sporymi kamieniami. Rozgrzane kamienie polewało się wodą i w ten sposób powstawała gorąca para. Zażywajcy kąpieli, w zależności od tego jaka temperatura mu odpowiadała, wspinał się na wyższą lub niższą półkę i spocony, mokry od pary delikatnie biczował swoje ciało brzożową miotełką. Później splukiwał się wodą z beczki, ubierał i szedł do domu.

W tych okolicach znajdowało się wiele takich posiołków rozsianych po lesie co kilka lub kilkanaście kilometrów. Z najbliższego otoczenia Wierchniej Strojki pamiętam Pieredwiznoje, Świetłaja i Obirkowo.

Pod koniec 1940r. albo na początku 1941r. - nie pamiętam dokładnie - moja rodzina została przesiedlona do baraku w Świetłej, ponieważ tu potrzebowali kowala a mój tatuś znał ten fach. Mamusia w Świetłej pracowała w piekarni. Nosiła wodę na koromyśle /koromysło to drążek, który zakłada się na ramiona a po obu końcach drążka zwisają wiadra/. Wodę trzeba było nosić z rzeki przepływającej doliną a z pełnymi wiadrami szło się pod górę. Przy tej pracy przeziębila się i zachorowała. Ciężka praca, marne wyżywienie, brak opieki lekarskiej, wszystko to musiało mieć tragiczne skutki - gruźlica. Słabła z każdym dniem, przestała pracować, no i nastąpiło to najgorsze, Umarła 20.07.1941 r. Wyobrażam sobie jak ciężko jej było umierać pozostawiając na obczyźnie pięcioro nieletnich dzieci.

W tym czasie z głodu i przepracowania umierało bardzo dużo ludzi, zarówno dorosłych jak i dzieci. Brak środków sanitarnych, chociażby zwykłego mydła było powodem wielu chorób. Mnożyło się robactwo. Wszy staraliśmy się tępić ale plaga pluskiew była nie do pokonania.

Za prowizorycznie zrobioną ścianą z desek sąsiadowała tu z nami rodzina o nazwisku Baran. W krótkim czasie umarli wszyscy z wyjątkiem jednego chłopca. Nie pamiętam jego imienia, miał może dziesięć lat. Nie wiem co później z nim się stało. Później dowiedziałam się, że w Wierchniej Strojce z rodziny Paluchów zmarły cztery osoby; ojciec i

troje małych dzieci.

Po śmierci mojej mamusi największy ciężar domowych obowiązków spoczywał na najstarszej mojej siostrze Zdzisławie. Miała wówczas 15 lat.

Z dnia na dzień pogarszała się nasza sytuacja bytowa. Chleb razowy, ciemny, ciężki jak glina coraz bardziej nam smakował niczym świąteczny placek. W porze letniej ratowaliśmy się jagodami, grzybami i najrozmaitszym zielskiem, chociaż i po tę zdobycz za każdym razem trzeba było chodzić coraz dalej. Wiosną przysmakiem była miazga z pnia młodej sosny, znajdująca się pod korą. Ściągaliśmy ją nożem w postaci długiej, białej taśmy. Pachniała żywicą ale była słodkawa i smakowała.

Zostało nam jeszcze trochę odzieży po mamusi. Pamiętam ładny, czarny płaszcz z futerkowym kołnierzem, wszystko siostra wyniosła na wieś i wymieniła na ziemniaki albo mąkę. Żeby na dłużej wystarczyło nam tych produktów to gotowaliśmy wodę, a mąką lub ziemniakami utartymi na tarce zagęszczaliśmy wodę i to był dodatkowy posiłek do 400 gramów przydziałowego chleba.

Po ogłoszeniu amnestii dla Polaków-zesłańców tatuś znalazł pracę w kołchozie. W lutym 1942 r. przeprowadziliśmy się do kołchozu Pantielejewo w Rejonie Roslatin obłasti Wołogda. W tym czasie sprowadziły się tu jeszcze dwie rodziny polskie; pan Mularczyk z dziećmi: Janką, Albinem i Gienią, oraz rodzina Gacków. Z Jadwigą Gacek chodziłam trochę do szkoły w Pantielejewie.

W kołchozie otrzymaliśmy mieszkanie. Był to drewniany dom, podobno po mieszkańcu tej wsi, który odmówił wstąpienia do kołchozu i został zesłany /tak mówili tubylcy/.

Tatuś pracował w kuźni, a czternastoletni brat Tadeusz początkowo był jego pomocnikiem a na wiosnę przeszedł do prac polowych. Jesienią zaś wozik zaprzęgiem konnym zboże przeznaczone dla państwa do Tołmy. Miasto to było oddalone od Pantielejewo około 100 km. Siostra Zdzisława też pracowała w kołchozie. Ja z młodszym bratem Kazimierzem chodziłam trochę do miejscowej szkoły i opiekowałam się najmłodszą, wówczas trzyletnią siostrą Czesławą. Kołchozy były biedne więc tutaj też brakowało nam chleba. Ratowało nas to, że kołchoźnicy posiadali swoje działki a brakowało im narzędzi, tatuś przez pracę w kuźni miał możliwości zaspokojenia ich potrzeb, za co był wynagradzany ziemniakami, mąką, mlekiem a czasami nawet kawałkiem słoniny.

Oprócz żywności zaczęliśmy odczuwać brak odzieży i obuwia. To co nie wymieniliśmy na żywność zdażyło się już zniszczyć. Kupić nie było gdzie ani za co. Obuwie zastąpiliśmy łapciami plecionymi z łyka brzoźowego. Nogi owijało się od stóp do kolan onucami wkładało łapcie i okręcało sznurkiem. Było w nich ciepło.

Ludzie tutejsi problem odzieży i obuwia rozwiązywali we własnym zakresie.

Uprawiali len, chodowali owce i w ten sposób uzyskiwali surowce. W długie, zimowe wieczory kobiety przędły przędzę z której na domowych krosnach tkaly płótno. Należałoby tu jeszcze zaznaczyć, że prace te odbywały się przy oświetleniu łuczywem. Materiał do oświetlenia też sami przygotowywali. Wybierali drzewo możliwie jak najmniej sękatę. Najlepsza do tego celu była brzoza, ale mógł być też świerk. Pocięte drzewo na klocki sporej długości, wysuszone w piecu doskonale pozwalało się łupać nożem na cienkie listewki, które służyły do oświetlenia mieszkań w specjalnie skonstruowanych świecznikach.

W sierpniu 1943 r. tatuś został powołany do polskiego wojska zorganizowanego przez gen. Z. Berlinga. Byliśmy zrozpaczeni, co poczniemy, jak sobie damy radę, jak zarobimy na życie. Ale stało się. Zostaliśmy sami. Ze zbliżającą się zimą sytuacja nasza stawała się coraz gorsza. Nikt się nami nie interesował. Z nikąd nie było pomocy. Coraz częściej byliśmy głodni. W sąsiednim domu mieszkała Popowa z dziećmi. mąż jej zginął na wojnie. W Pantielejewie dużo było rodzin o tym nazwisku. Nie pamiętam jak ją nazywali po "Oczestwu" tzn. po ojcowskim imieniu. Chodziłam czasami do Kati, córki Popowej. Była mniej więcej w moim wieku i byłam jej bardzo wdzięczna jak poczęstowała mnie ziemniakiem ugotowanym w łupinie, albo kartoflenikiem /placek z gotowanych ziemniaków/.

Pamiętam jak pędł Pisarionok /takie imię miał koń, którym brat mój Tadeusz woził zboże/, został zakopany ale na drugi dzień jedliśmy z niego mięso. Brat wieczorem odkopał go i okroił trochę mięsa gdzie się dało, bo szkapina była chuda, przepracowana i wygłodzona. A kiedy już było bardzo źle musiałam z młodszym bratem Kazimierzem iść po prośbie. Był to najbardziej upokarzający okres w moim życiu. Wędrowaliśmy od wsi do wsi, od chaty do chaty prosząc o wsparcie. Naród rosyjski mimo, że sam cierpiał niedostatek był bardzo gościnnie i serdeczny. Dzielili się z nami tym co mieli; kawałkiem chleba, plackiem owsianym, ziemniakiem a nawet cebulą. Tam gdzie zastał nas wieczór prosiliśmy o nocleg. Rzadko spotykaliśmy się z odmową. Czasami nawet częstowano nas kolacją, która najczęściej składała się z gotowanych ziemniaków w łupinach i solonych wołnuch /grzyby/. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie takich ludzi jak my proszących o jałmużnę było dużo i to nie tylko Polaków, ale i miejscowych często bieda zmuszała do zdobywania kawałka chleba w ten sposób. Dlatego też w niektórych wsiach były wyznaczone domy noclegowe dla "niszczonych" /żebraków/.

Typowe mieszkanie tubylca to duża izba w rogu przy drzwiach wejściowych duży piec, a od pieca do przeciwległej ściany nad drzwiami prycze, które służyły do spania a przy ścianach dookoła izby ~~skrzynka~~ ława na tyle szeroka, że można się na niej wyspać. Właśnie najczęściej spaliśmy na takiej ławie nakrywając się swoim wierzchnim odzieniem, ale czasami pozwalano

nam wejść na "pieczkę" /piec/. Była to wspaniała rzecz. Zwłaszcza zimą po całodziennym przemarznięciu takie wygrzanie się zapewniało zdrowie do dalszej wędrówki.

Nadszedł sierpień 1944 r. Zostaliśmy rozdzieleni z młodszym rodzeństwem. Brata Kazimierza /12 lat/ i siostrę Czesławę /4 lata/ skierowano do sierocińca a mnie ze starszym rodzeństwem Zdzisławą i Tadeuszem przesiedlono na Ukrainę do miejscowości Rasztat /kolonia po wysiedlonych wcześniej Niemcach/ rejon mostowski obłast`Odessa. Tu przydzielono nam dom bez drzwi i okien. We własnym zakresie musieliśmy uzupełnić te braki. Dom był trzypokojowy, sąsiedował z murem cmentarnym. Cmentarz zaniedbany, porośnięty chwastami i kolczastą krzewiną a w nocy słyszeliśmy tylko miauczenie zdziczałych kotów.

Zamieszkaliśmy w tym domu z panią Trzaskaczową z synem /może 5-6-cio letnim, jeżeli dobrze pamiętam na imię miał Jędrus/ oraz z panią Grzelakową i jej dorosłą córką Kazimierą.

Moje rodzeństwo Zdzisława i Tadeusz pracowali w kołchozie Sucha Bałka a ja sezonowo przy zbiorze winogron. Polepszyły nam się warunki bytowe. W kołchozie można było zarobić na skromne wyżywienie. Otrzymaliśmy też od tatusia z wojska paczkę odzieżową.

Przez drogę na przeciw naszego domu mieszkała rodzina państwa Czernuszewiczów. Tam chodziłam z bratem mleć kukurydzę na żarnach zmajstrowanych przez pana Czernuszewicza. Z jego pomocą brat Tadeusz zrobił garnek z blachy rynny zabranej z niezamieszkałego domu, bo nie mieliśmy w czym gotować kukurydzianą mamałygę. Kłopot był z opałem. Do tego celu służyły nam badyle i kaczany z kukurydzy oraz burian /lebioda, piołun i inne chwasta wyrastające tu do wysokości dorosłego człowieka/. Pamiętam jak któregoś dnia poszłam z bratem po burian i zauważyliśmy usypane kopczyki. Tadeusz rozgrzebał ziemię, ujrzeliśmy równusieńko poukładane kłosa jęczmienia. Zwierzątek nie widziałam, ale najprawdopodobniej było to dzieło susła. Zanieśliśmy po wiązce burianu do domu i wróciliśmy z workiem. Wymłócony jęczmień kijem i przepuszczony przez żarna stanowił urozmaicenie naszego menu, ponieważ w Rasztacie podstawowym pożywieniem była kukurydza.

Żeby przeżyć dopuszczaliśmy się też czasami czynów niedozwolonych. Kradłam winogrona z plantacji a brat zakładał sidła na zające.

Tak dotrwaliśmy do lutego 1946 roku.

Transport którym wracałam do Polski przekraczał granicę w Medyce i był skierowany w okolice Wołowa. Ja z rodzeństwem wysiedliśmy w Katowicach, ponieważ po zakończeniu wojny ojciec zdemobilizowany, zatrzymał się tymczasowo u swojego brata mieszkającego z rodziną w tym mieście.

Po naszym powrocie na stałe osiedliliśmy się we wsi Błażkowa, były powiat Kamienna Góra.

Po dłuższych staraniach, jesienią 1946 r. tatuś odnalazł Czesławę i Kazimierza w Olsztynku dokąd wrócili z sierocińcem z Rosji.

Z pomocy PUR-u nie korzystaliśmy, ponieważ tatuś pracował i spodziewał się naszego przyjazdu, a doskonale zdawał sobie sprawę w jakim stanie wrócimy z "raju" więc zaoszczędził trochę złotych na zaspokojenie naszych najpilniejszych potrzeb.

Gospodarstwo w Błażkowej otrzymał z tytułu udziału w wojnie. Nasze zaświadczenie o powrocie do Kraju gdzieś zaginęło, nie przywiązywaliśmy też wagi do innych zaświadczeń chociażby z kołchozu dlatego teraz mamy trudności w udokumentowaniu naszej deportacji.

Kamienna Góra dnia 28.04.1992r.

